TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

Vcl. 3. Nr. 28 (133) Nowy Jork, 15go lipca — New York, 21, N. Y., July 15th, 1945. Cena 20 ct.

"Polak chociaż stąd między narodami słynny
Że hardziej niźli życie kocha kraj rodzinny,
Gotów zawżdy rzucić go, puścić się w kraj świata
W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,
Walcząc z ludźmi i z losem, póki mu śród burzy
Przyświeca ta nadzieja, że Ojczyźnie służy."

"PAN TADEUSZ"
Adam Mickiewicz

STANISŁAW STROŃSKI *(dla "Tygodnika Polskiego" z Londynu)*

Szesnastu w Moskwie

Przypomnijmy przebieg tego nieprawdopodobnego zdarzenia.

W początku r. 1945, gdy wojska rosyjskie zajęły przeważną część Polski, RządBrytyjski podał Rządowi Rosyjskiemu nazwiska przywódców polskich w kraju, udzielone mu przez Rząd Polski w Londynie z wiedzą działaczy krajowych, którzy nie widzieli powodu nieujawnienia się wobec władz rosyjskich. Wynik był nieoczekiwany. Rosyjski pułkownik Pimienow, w listach z 6 marca do Delegata Rządu w Kraju p. Jankowskiego i jen. Okulickiego, zaprosił ich na naradę z gen. Iwanowem, poręczając ich bezpieczeństwo słowem oficera, według dosłownego brzmienia tych listow znanych i ogłoszonych dziś w całości. W dalszym rozwoju tego zaproszenia naprzod, 27 marca 1945, 3 przywódców polskich a nazajutrz, 28 marca 1945, dalszych 13 udało się na narady. Wtedy wszelki słuch o nich zginął, mimo niezwłocznego uderzenia w dzwon przez Rząd Polski w Londynie i mimo licznych zapytań Rządu Brytyjskiego i Rządu St. Zj. Ameryki, gdyż Rząd Rosyjski po prostu na pytania te nie odpowiadał. Wreszcie 5 maja 1945, w San Francisco, p. Mołotow zawiadomił pp. Edena i Stettiniusa, że zostali oni uwięzieni i będą sądzeni. Wobec tego pp. Eden i Stettinius ogłosili, że przerywają rozmowy z p. Mołotowem o sprawach polskich.

Taki przebieg sprawy — zaproszenie, zniknięcie, sześciotygodniowe milczenie, uwięzienie — nie mieściło się w umysłach świata.

* * *

Stan rzeczy w owej chwili ujawnienia najlepiej będzie określić słowami oświadczenia p. Edena do dziennikarzy, ogłoszonego przez Reutera 10 maja 1945::

"Opłakana w najwyższym stopniu wiadomość o uwięzieniu 16 Polaków uniemożliwiła dalszy postęp rozmów o Polsce.

"Nasze wiadomości o tem co się dzieje w Polsce są obecnie niepełne, ale muszę stwierdzić dobitnie, że zespół 16 Polaków, o których zniknięciu doniesiono, a o których zapytywaliśmy Rząd Sowiecki dłużej niż od miesiąca, obejmował niemal wszystkie kierownicze postacie polskiego ruchu podziemnego. Ludzie ci mają za sobą świetną działalność w oporze przeciw Niemcom przez cały czas wojny. Czterech z nich urzędowało w Polsce przez dłuższy okres jako ministrowie Rządu Polskiego zarówno pod przewodnictwem Sikorskiego i Mikołajczyka jak Rządu obecnego, jeden z nich był przewodniczącym Podziemnej Rady Narodowej, a inni byli wybitnymi przewódcami głównych stronnictw demokratycznych w Polsce.

"Przeważna część z nich byli to właśnie ludzie tacy, którzy powinniby według naszego poglądu, wziąć udział w naradach w sprawie nowego rządu Narodowego w Polsce, jeśliby Rząd ten miał naprawdę przedstawiać demokratyczne życie polityczne Polski, w zgodzie z postanowieniami krymskiemi.

"Uwięzienie tych ludzi musiało oczywiście przerwać naszą pracę w zakresie spraw Polski."

"The most unhappy news of the arrest of the 16 Poles has made further progress with the conversations on Poland impossible in present conditions.

"Our information about events in Poland is incomplete to-day, but I must emphasize that the list of 16 Poles reported as having disappeared, and about whom we inquired of the Soviet Government more than a month ago, included nearly all the leading figures of the Polish underground movement. These men maintained an excellent record of resistance against the Germans though the war. Four held held office for some time in Poland as Ministers of the Polish Government, Ministers of the Sikorski and Mikołajczyk Governments as well as the present one; one of them was president of the Underground National Council; and the rest were prominent leaders of the principal democratic parties in Poland.

"Most of these men were just the type who should, in our view, have been consulted about the new National Government in Poland, if such a Government was to be truly representative of Polish democratic political life, in accordance with the Crimea decision.

"Inevitably the arrest of these men has put a stop to our work here so far as the Polish problem is concerned.'

Chcecie sądu o Szesnastu i o ich działalności?

Oświadczenie p. Edena, spokojne, oparte o rzeczywistość, o pięcioletnie doświadczenie o prawdę, rozważne w każdym słowie, a zarazem wyraźne— (równie wyraźne jak zerwanie rozich działalność w Polsce, gdyż: jest sądem wobec sumienia świata, którego nie zmieni żaden sąd w Moskwie.

o o o

Rozprawa sądowa Szesnastu w Moskwie od 18 do 21 czerwca 1945, była w swej podstawie, w swym przebiegu, w swym wyroku, jednem wielkim bezprawiem.

Żaden bowiem sąd rosyjski nie jest uprawniony do sądzenia Polaków za ich działalność w Polsce, gdyż:

1. Na podstawie zwykłego prawa wewnętrznego każdego państwa i również prawa międzynarodowego, obywatel państwa za działalność w krju własnym nie podlega żadnemu sądownictwu obcemu.

2. Nie wchodzi tu również w zastosowanie prawo wojenne, które daje okupantom uprawnienia sądowe w ściśle ograniczonym zakresie, a to z tej prostej przyczyny, że Polska, która jest jednem z państw Narodów Zjednoczonych, wogóle nie jest w wojnie z Rosją, a Rosja twierdzi, że w Polsce nie jest okupantem.

3. To, że Rosja, osadziwszy w Polsce swój t. zw. rząd zawarła z nim (czyli sama z sobą) t. zw. umowę, dającą jej prawa takie czy inne, m. in. sądownicze, w Polsce, nie zmienia bezprawia, gdyż ani ten rząd nie jest rządem ani ta umowa nie jest umową, lecz wszystko jest tylko i wyłącznie całkowitą samowolą Rosji.

Rosjanie powiadają, że więżą Polaków w Polsce i sądzą ich w Moskwie za działania członków polskiej armji krajowej przeciw armji czerwonej. Ale jak Rosjanie postępują w Polsce wobec ludności i wobec armji krajowej, która przez pięć lat twardo i ofiarnie prowadził walkę przeciw Niemcom? Rosjanie porywają i wywożą na zesłanie kogo chcą a przedewszystkiem członków armji krajowej, uznanej za sojuszniczą przez Narody Zjednoczone z Wielką Brytanj i St. Zj. Ameryki na czele. Czy można się dziwić, że ścigani po lasach bronią się gdy mogą? Cała wina jest tu po stronie Rosji.

o o o

Skoro Moskwa wszczęła tę sprawę i urządziła to widowisko nieprawnej rozprawy sądowej, miała oczywiście swe cele, które zupełne wyraźnie u-

kazały się w akcie oskarżenia i w przemówieniach ze strony rosyjskiej. Chciała pokazać światu, że prawowite władze polskie, Rząd Polski w Londynie i Ruch Podziemny w Kraju, przepojone są nienawiścią ku Rosji, aż do gotowości współpracy z Niemcami. Tego celu Moskwa nie osiągnęła, gdyż głos prawdy, w ustach oskarżonych, zabrzmiał silniej.

— Nie boję się waszego wyroku— mówił jeden z nich — gdyż mnie, którego całą rodzinę rozbiło Gestapo, nikt nie zdoła oskarżyć o zwalczanie tych, którzy są wrogami Niemiec.

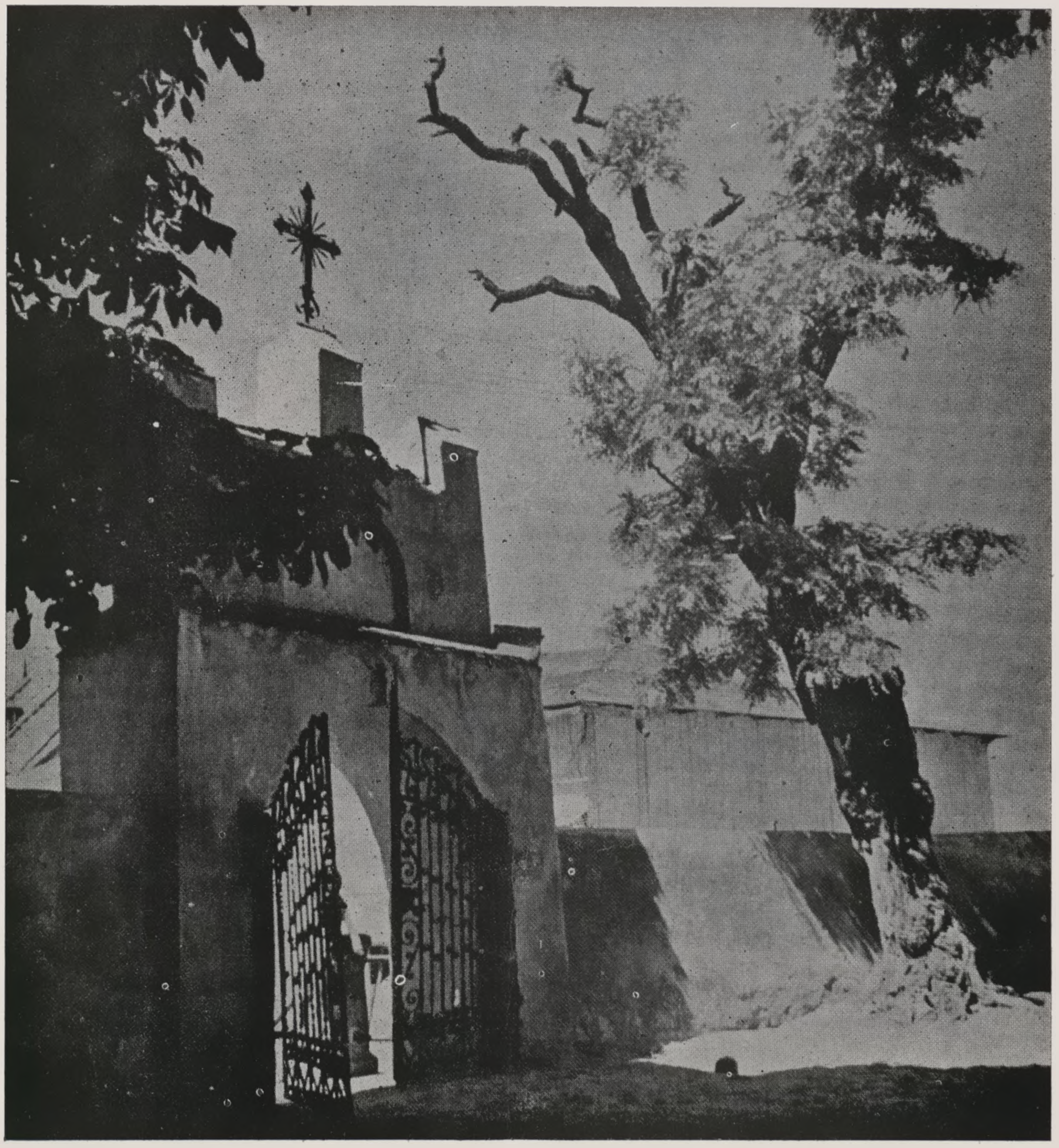
Tem zdaniem wyraża się stanowisko nietylko wszystkich oskarżonych, ale całej umęczonej przez Niemców Polski, której męka niestety nie ustała.

— Walczyliśmy o wolność przeciw Niemcom — mówili wszyscy oskarżeni — a gdy ujrzeliśmy, że z kolei Rosja zagraża wolności i niepodległości Polski, uważaliśmy obronę za swój obowiązek, i jeżeli o to nas oskarżacie — dodał jeden z oskarżonych — oskarżonym jest cały naród polski.

Nie nienawiść Rosji lecz miłość Polski i obrona jej wolności przeciw każdemu, kto jej zagraża, jest duszą poltyki polskiej.

Oto wynik rozprawy w Moskwie.

Jest on jasny dla świata, który raz jeszcze ujrzał, że po stronie Rosji jest siła, a po stronie Polski jest prawo, sprawiedliwość i święta sprawa wolności.



BRAMA PRZED KOŚCIOŁEM W KAZIMIERZU NAD WISŁĄ

MARJAN CZUCHNOWSKI

WANDA WASILEWSKA

(z pracy p. t. "Z Moskwy . . . do Moskwy)

...Początki pisarskiej drogi Wandy Wasilewskiej, ur. w 1905 roku są bardzo skromne. Lepsza była jako namiętna, gorąca publicystka o patetycznym stylu, czasem nawet o szczerym ogniu, ale zawsze niepotrzebnie zasłoniętym jaskrawymi, krzyczącymi słowami. O jej klasie pisarskiej, jako autorki kilku powieści możnaby powiedzieć, że jej miejsce było gdzieś między drugorzędnym a trzeciorzędnym romansem polskim. "Proletarjacka Mniszkówna"* — jak ją niegdyś nazwał bardzo wybitny poeta krakowskiej Awangardy, lewicowy krytyk i zdecydowany sympatyk rewolucji proletarjackiej Lech Piwowar, który zginął w roku 1940 w obozie jeńców w Starobielsku na Ukrainie Sowieckiej. Ta nazwa "proletariackiej Mniszkówny" zamyka w sobie ocenę pisarską Wasilewskiej bez reszty. Taką została do dnia dzisiejszego, mimo, że pisze o bohaterach Związku Sowieckiego. Jej pisarski obraz życia sowieckiego i walki, miłości i odwagi, charakteru i oddania się sprawie przypomina mimo patetycznej treści tanie romanse bulwarowe, sentymentalne, ckliwe piśmidła obliczone na bardzo niewyrobionego literacko czytelnika. Gdybyśmy chcieli dokuczyć, co wcale nie jest naszym zamiarem, głośnym, współczesnym pisarzom rosyjskim siląc się na znalezienie dla niej tam miejsca, z ubolewaniem trzebaby stwierdzić, że podobnie jak w dobrej polskiej literaturze niema dla niej absolutnie miejsca w literaturze rosyjskiej. To też nas nie dziwi, że od jakiegoś czasu pisze się o niej oficjalnie krótko — "polskaja pisatelnica", odsuwając ją tym łagodnie, ale stanowczo z pisarskich kręgów rosyjskich, raczej wymieniając jej nazwisko w liczbie pisarzy... ukraińskich. Tylko dla tego musi się o niej mówić tem więcej, że z tej miernej i nieciekawej powieściopisarki, biorąc pod uwagę jej żywość publicyctyczną, zrobiono jakąś "wielką rewolucjoniskę", co jest tak samo nieprawdą, jak i to, że naprawdę zajmowała ona kiedykolwiek wysokie miejsce w literaturze polskiej.

Życie tej bardzo wygodnej pani płynęło w Polsce spokojnie, dostatnio i nadwyraz lekko. Córka Leona Wasilewskiego, wybitnego działacza socjalistycznego z przed tamtej wojny, który był jednym z redaktorów rewolucyjno-socjalistycznego pisma "Przedświt", wydawanego w Londynie na początku bieżącego wieku, a nawet później pierwszego ministra spraw zagranicznych w Polsce szła przez życie bez trudu, mogła studjować, pisać, kochać się i bawić. Jej związki z polskim ruchem robotniczną był jednak absolutnie szczery. To należy stwierdzić bez żadnych zastrzeżeń. Sentyment do ojca, jego związki z polskim ruchem robotniczym, patetyczny talent publicystyczny pchnęły niewątpliwie Wasilewską do Polskiej Partji Socjalistycznej. Gdyby ją traktować z punktu widzenia literackiego, oczywiście niewiele możnaby jej poświęcić miejsca, więcej możnaby o niej napisać dobrego jako o publicystce w jej najbardziej wartościowym okresie od 1933 do 1937, kiedy to reagowała żywo na każdą krzywdę i niesprawiedliwość, będąc inicjatorką m. inn. znanego protestu Polskiej Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela, przeciw rozstrzelaniu Zinowjewa, Bucharina, Rykowa i inn. Bardzo żałuję dzisiaj, że tego protestu nie chciałem wówczas podpisać, mimo jej usilnych nalegań.

Ale rewolucji, socjalizmu, marksizmu nie rozumiała nigdy. Wątpię, czy zadała sabie kiedy trud przeczytania "Kapitału" Marksa. Wiązał ją z ruchem robotniczym sentyment, pasja publicystyczna i drugi jej mąż, miły, rozumny, lubiany powszechnie robotnik krakowski*. Jako publicystka była bardziej utalentowana niż jako literatka, czy powieściopisarka. Wierszy n. p. nie rozumiała. Malarstwa, rzeźby, muzyki nie czuła. Lubiła sławę, sentymentalne odruchy, bardzo ceniła piękne futra, dobre jedzenie, wykwintną kuchnię i miała niegdyś pewien wdzięk w swej grubej twarzy, gdy zaperzała się w dyskusji. Wielkie nazwisko jej ojca ułatwiło jej związanie się z pisarzami lewicowymi w Polsce i na ich tle a raczej w ich wieńśu, jej mała, skromna gwiazdka powieściopisarska też świeciła. Każdy z jej lewicowych kolegów literackich mógł błyszczeć sam, ona musiała mieć tło— sama nie świeciła nigdy.*

W roku 1939 w październiku Wasilewska bez wahania, czy z wahaniem, tego nie wiemy, ale bardzo szybko znalazła się w nielicznym gronie "uprzywilejowanej" garstki Polaków, którzy odrazu przystąpili do współpracy z sowieckiemi władzami okupacyjnemi we Lwowie i skupili się koło sowieckiego czasopisma wydawanego tam w języku polskim pt. "Czerwony Sztandar", gdzie rozpoczęli odrazu ordynarne porachunki na ciepłych jeszcze zgliszczach kraju. Trzeba stwierdzić, że daleko powściągliwiej, z większym umiarem, powiedziałbym z dużą godnością osobistą zachowywali się rosyjscy pisarze komunistyczni po okupacji Lwowa. Ich krytyka, czy nawet ostre wypowiedzi pod adresem "pańskiej", w ich mniemaniu Polski, były nacechowane pewnym politycznym sensem, zrozumiałym o tyle, że wyrastał on z ich sowieckiej ideologji. Najgorzej zachowywali się właś-

---

*Helena Mniszkówna autorka nieporadnych, naiwnych, ale bardzo popularnych bulwarowych powieści z życia arystokracji, którą "autor znał tylko z opowiadań" Analogja Piwowara trafna, gdyż Wasilewskiej środowisko prawdziwe proletarjackie było tak samo nieznane i obce, jak Mniszkównie środowisko prawdziwej polskiej arystokracji.

*Marjan Bogatko, drugi mąż Wasilewskiej został zastrzelony w tajemniczych okolicznściach we Lwowie na wiosnę 1940 roku.

*W takiej plejadzie świetnych nazwisk pisarskich jak Andrzej Strug, Leon Kruczkowski, Władysław Broniewski, Emil Zegadłowicz, Helena Boguszewska, Stefanja Sempołowska, Edward Szymański, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Lech Piwowar i inni — Wasilewska mogła być już przez to samo popularna jako związana z tymi doskonałymi pisarzami.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription
Monthly 80 cents
Half yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

nie ci (nieliczni na szczęście) pisarze polscy, niektórzy nawet b. komunsci, którzy z miejsca postawili akcent na przypodobanie się. Niektórzy z nich, jak Lucjan Szenwald, Jerzy Parecki, Leon Pasternak i Jerzy Borejsza figurują w oświadczeniach kilku pisarzy polskich, jako zwyczajni świadkowie policyjn obciążający swych niedawnych kolegów wobec władz N. K. W. D. Przykro nam pisać o tem, ale piszemy to dlatego, gdyż ci wymienieni nadal jeszcze piszą i pracują w centralnym organie dzisiejszych "patrjotów" — "Wolna Polska". Tylu przyzwoitych pisarzy zginęło w tej krwawej bezmyślnej zawierusze, ale oni, policyjni świadkowie i bezmyślni oskarżyciele przetrwali i gromią teraz emigrantów polskich, ucząc ich... moralności.

Osobiście nie spotkaliśmy się z ich zeznaniami podczas kilkakrotnego przesłuchwania nas przez N. K. W. D., ale wierzymy wiarogodnym i uczciwym naszym kolegom, którzy pamiętali doskonale wszystkie szczegóły ze śledztwa, a niektórzy z wytoczonych im procesów.

Przeszlibyśmy do porządku dziennego nad zachowaniem się tych zwyczajnych łobuzów, gdyby nie to, że dzisiaj oni jako "patrjoci" chcą nam dawać lekcje patrjotyzmu.* Na dobre konto Wasilewskiej należy napisać, że podobno nie miała się ona solidaryzować z nagonką, jaką rozpętali przeciw nam wymienieni członkowie "polskiego sektoru" literatury we Lwowie. Karjera jej rozpoczęła się tam tak szybko jak letnia burza. Wszędzie już zgóry czekało ją powodzenie, podsycano jej ambicje, ceniono jej usługi a ona rzeczywiście oddała usługi olbrzymie! Nikt bowiem nie wystawił takiego pomnika.. z błota Polsce, jak ta polska literatka, niedawna socjalistka, tak rączo kandydująca do... Partji Komunistycznej (W. K. P.) (b.) Drukowano jej wszystkie "demaskatorskie" artykuły, fotografowano ją we wszystkich pozach.

Nie byliśmy osobistym świadkiem tryumfów, bośmy poprostu wtedy starym zwyczajem siedzieli w więzieniu. Ale do naszego więzienia dochodziły odgłosy jej sławy, przy której biedny Herostrates mógłby się rozpłakać ze wstydu. Trafiono na dobry materjał. Wasilewska pracowała za stu i należy podziwiać jej



Marjan Czuchnowski, znany poeta, po wyjściu z sowieckiego obozu w Uchcie w r. 1941

energję i pomysłowość w wynajdywaniu co raz to nowych warjantów, aby nie zostawić suchej nitki na naszej przeszłości, jakby Polska miała być oskarżoną Wasilewską powołano na prokuratora. Omyliła się ona stanowczo. Tego samego mniemania o Polsce był Goebbels, daleko bardziej wyrafinowany kalumniator. I on się także omylił. Polska była pobita chwilowo, ale nie była pokonana. Polska żyła, walczyła tak samo jak walczy dotąd. Ale tej Polski wcale Wasilewska nie znała, mimo, że pisała "proletarcjackie" powieści, nie wiedziała o niej nic. Okazało się wówczas, że nie znała ona ani nie doceniała siły Polski, nie znała siły chłopów i robotników polskich, mimo, że była niegdyś członkiem Rady Naczelnej Polskiej Partji Socjalistycznej. Wszystko, co Wasilewska pisała wtedy na tematy polityczne wyglądało na pisaninę bezradnego dzieciaka. Lepiej już to by było, gdyby zechciała poprzstać na swych

---

*Z wymienionych tutaj Lucjan Szenwald zabity został w sierpniu 1944 roku, na szosie pod Lublinem, a Parecki był zabity we Lwowie w czerwcu 1941 r.

sentymentalnych powieściach. We lwowskim właśnie okresie wśród tajemniczych okoliczności ginie we Lwowie jej drugi mąż. Nigdy nas nie obchodziło, co częściej zmieniają kobiety — mężów czy koszule, ale to fakt, że już jako członek sowieckiej Partji Komunistycznej wychodzi zamąż po raz trzeci*, ale dość szybko zmienia decyzję i męża i wychodzi po raz czwarty zamąż za ukraińskiego pisarza, który razem z nią robi równie szybką jak i efekowną karjerę polityczną. Czwartym jak dotąd mężem, był dramatopisarz kijowski Korniejczuk.

Zostawmy problemy małżeńskie, wróćmy do "czystej" polityki. Wojna niemiecko-sowiecka daje Wasilewskiej-Korniejczukowej w krótkim czasie możność awansowania na... Pułkownika Armji Czerwonej. Atoli niedługo mogła wytrwać w tej nowej roli, gdyż okazało się wówczas, że trzeba było inaczej pisać, działać, postępować. Aktualna bowiem stała się spowrotem porzucona przez nią dla Ukrainy Sowieckiej — sprawa polska. Zmartwychwstała ta sprawa równocześnie w nowym aspekcie. — Zbyt pochopnie okazało się Wasilewska-Korniejczukowa znalazła swą "drugą ojczyznę", przyjęła jej obywatelstwo, zaangażowała się bardzo mocno. Spowrotem nawiązać z Polską zerwane nici nie było tak łatwo. Wasilewska była w najtrudniejszej, tak myślimy sytuacji.

Faktem jest, że po jakimś czasie wypływa Wasilewska, tym razem o dziwo, jako polska działaczka. Sytuacja jej stała się chyba co najmniej bardzo... delikatna. Polacy nie mogli zapomnieć Wasilewskiej okresu od października 1939 do 1941, okresu wyłącznie sowieckiego, podczas którego nikt nie oddał tak szerokich i dużych "sekretnych" usług Związkowi Sowieckiemu ze wszystkich Polaków jak właśnie ona ze swą grupą. To były wyjątkowo cenne usługi na.. wszystkich polach. A teraz przyszło jej grać nową i przyznajemy szczerze, trudną rolę... "Polki". W okresie, gdy rezydował nasz ambador w Moskwie i Kujbyszewie, grupa Wasilewskiej była mocno trzymana na wodzy przez rząd sowiecki. Pozostawiono jej tylko dużo czasu do przygotowania się tym razem do roli... "polskich patrjotów". A zadanie to było co najmniej niełatwe. Ale, rzecz ciekawa, jak przed tem w okresie 1939-41 była Wasilewska najbardziej oddaną patrjotką Związku Sowieckiego, odżegnywując się od "pańskiej" rzekomo Polski, tak teraz w nowym okresie od 1942 do czasów dzisiejszych z pod jej pióra wychodzą odezwy, w których mówi się o "orłach piastowych", o "piastowskiej tradycji", tak, że ktoby nie znał jej przedtem, myślałby, że te artykuły w "Wolnej Polsce" pisuje nie członek sowieckiej Partji Komunistycznej, ale jakiś zajadły polski nacjonalista, który świeżo wylazł z kruchty. Nawet polscy faszyści z przed wojny, t. zw. Oenerowcy biedną przy tej furji nacjonalizmu. Widzimy więc, że przerzucała się ona z jednej skrajności w drugą bez przejścia, lekkim skokiem, nawet powiedziałbym używając socjalistycznego języka tej prtji, przerzucała się poprostu... "po prikazu".

O "masowości" i "popularności" tej partji, w Polsce, partji, która przyjęła nazwę Polskiej Partji Robotniczej możemy sądzić choćby z tego prostego faktu, że stoi ona na stanowisku oddania połowy Polski Związkowi Sowieckiemu. Wyobrażamy sobie, jaką to "ogromną popularność" w Wielkiej Brytanji miałaby podobna "Partja Robotnicza", która chciałaby oddać pół Imperjum Brytyjskiego drugiemu sąsiadującemu z nią państwu, nawet bardzo z nią zaprzyjaźnionemu i ogromnie życzliwemu.*

I rzecz ciekawa, że to jest teza Wasilewskiej, dzięki której ona wypłynęła wzwyż i teza przyjęta została później przez egzekutywę "Związku Patrjotów Polskich", jako ...centralne żądanie i centralne hasło polityczne. Jakie przedziwne figle płata kapryśny los i jakże równocześnie bolesne. Ojciec Wandy Wasilewskiej — Leon, pierwszy nasz minister spraw zagranicznych wziął później czynny udział w polskiej delegacji pokojowej na konferencję pokojową Polski ze Związkiem Sowieckim w Rydze w 1921 roku. Był on przewodniczącym Polskiej Komisji Granicznej, która z analogicznymi delegatami Rosji Sowieckiej wytyczyła w terenie granice ustalone Traktatem Ryskim. Tą granicę uznała później Konferencja Ambasadorów Państw Sprzymierzonych 15 marca 1923 r. oświadczeniem brzmiącym o granicy wschodniej Polski z Rosją według protokułu, jako o "Linji oznaczonej i zasłupionej za zgodą obu państw i na ich odpowiedzialność w dniu 23 listopada 1922 roku". To co stanowiło dumę i radość tego wybitnego socjalisty polskiego: uzgodnienie, wytyczenie i sąsiedzkie ustalenie naszej granicy na Wschodzie— przekreślone zostało przez jego córkę, która za główny cel swego życia i swej politycznej działalności uznała właśnie obalenie i zlikwidowanie dzieła swego ojca. Żadnego nie podajemy tu komentarza, niech nas skomentuje czytelnik sam.

Patrząc teraz na przeszłość i widząc teraźniejszość tego ruchu, kiedy twarze wielu niegdyś znanych nam działaczy występują dziś w innym aspekcie, mają już inne cele w rysach, nie możemy zapomnieć pewnej koszmarnej sceny i było błędem nie pokazać tej sceny dla przebicia mroku, w którym ci ludzie stąpali,

W POPRZEDNIM 27 (132) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Czem Polska zawiniła; Władysław Broniewski: Ballada; Ksiądz Alfons Skoniecki:: Rząd Polski z Moskwy; Aleksander Janta: Gabrjel; Ryszard Wraga: Wspomnienia krwią pisane; Tadeusz Mitana: Ostatnie dzieło prof. Noyes'a; Sulima; Opinje i Zdarzenia.

---

*Trzeci jej mąż, biedny aktor, który grał rolę Bartosza Głowackiego w jej "sztuce teatralnej" pod tym tytułem, nazwiskiem M.... szybko, po paru zaledwie miesiącach zeszedł również ze ....sceny jej życia.

*Wręcz przeciwnego zdania byli dwaj przywódcy Komunistycznej Partji Polski — Warski i Dąbski. W r. 1919-20 stojąc na czele polskiego ruchu komunistycznego (z centralą w Moskwie) sprzeciwiali się stanowczo stanowisku t. zw. tymczasowego rządu Marchlewskiego, Dzierżyńskiego i Kona, głoszącego tezę niesienia "wolności na ostrzach bagnetów". Okazało się później, że Warski i Dąbski mieli zupełną słuszność.

Henryk Warski (Warszawski) zapłacił później ciężko za to, że miał wtedy słuszność. Wiele lat później schorowanego i przeszło siedemdziesięcioletniego starca posadzono w więzieniu w Moskwie jeszcze przed wybuchem wojny i tam też skończył on swój tragiczny żywot.

szli, błądzili i błądzą. Godny jest zanotowania i podania już dziś do publicznej widomości jeden drobny na pozór fakt, ale wielce charakterystyczny. Było to między 14 a 20 stycznia 1940 r., kiedy Wanda Wasilewska wchodziła w bezpośrednie związki i kontakty z przedstawicielami rządu Związku Sowieckiego i kiedy już rzucała gromy na "pańską Polskę" i gwałtem wtłaczała w swe artykuły, ochłapy obraźliwych, szarpiących słów, wyjętych żywcem z najobskurniejszych mów i broszur propagandowych — przewieziono mnie limuzyną NKWD z więzienia w Brygidkach we Lwowie po raz trzeci na śledztwo do centrali. Tam m. inn. po 17 godzinach śledztwa bez przerwy (sędziowie się zmieniali na wzajem co godzinę a mnie tylko nie miał kto zmienić) wzięto mnie na spytki w "sprawach wojskowych". Pytano o znanych generałów, oficerów, a fakty różne i różne nazwiska. O wypadki, którymi interesowano się z naszej kampanji wrześniowej. Odpowiadałem spokojnie na wszystko po polsku dwoma słowami: "Nie wiem". Śledztwo toczyło się w języku rosyjskim bez przerwy. Moje "nie wiem" młodemu oficerowi wywiadu nie wystarczały, używał wszystkich argumentów, aby mi rozwiązać język, prosił, tłumaczył, groził, zaklinał, obiecywał i klął: — Mnie to już naprawdę nie bawiło, byłem śmiertelnie znużony.

Chyba gdzieś o świcie oświadczył mi, że jeśli nie chcę odpowiadać na pytania "w sprawach wojskowych", to on to rozumie, ponieważ on sam jest żołnierzem (!), ale chce mi teraz zadać pytanie "prywatne". Nie będę opisywał całości, bo mi nie chodzi o relację dokumentarną, ale o jedną tylko sprawę. Zapytał mnie poprostu: "Co pan sądzi o Wandzie Wasilewskiej?"

Uśmiechnąłem się, wiedziałem, że pracuje ona już kilka miesięcy z bolszewikami, że drukuje wiele artykułów w prasie sowieckiej, czytałem nawet jakiś strzęp tej słomy agitacyjnej, byłem dobrze zorjentowany, że weszła do Wierchownego Sowietu, że ją szykują do partji bolszewików (W. K. P.) (b). Mało tego, znając jej sentymentlny ptasi móżdżek polityczny, wiedziałem, że ją wezmą na... zaszczyty, na krzyk, sławę, honory i ostatecznie na... ciężkie pieniądze za artykuły, brechty, romansidła "proletarjackie", na sentymenty o "zbawieniu ludu" i dlatego również, że nigdy w życiu ne przeczytała Marksa, Engelsa, Bebla, Kautzky'ego, Lenina, Plechanowa, cóż mówić o Bucharinie, czy Trockim. Nie odpowiedziałem nic agentowi, a ten myśląc, że ogromnie jestem tem zaskoczony zapytał jeszcze raz: "Co pan myśli o Wandzie Wasilewskiej?"

Nie odezwałem się znowu nic. — Wtedy on dodał mi tryumfalnym szeptem "Siedzi!!"

Patrzyłem na niego z dużą pogardą, jak na wyjątkowego prostaka i głupca. A on nie zważając na nic, podniecony własną wyobraźnią i otrzymanymi instrukcjami wyjął nagle jakiś zapisany gęsto świstek papieru z biurka i wykrzyczał mi, jak szaleniec napisany tekst, z którego zapamiętałem dobrze kilka urywków: "Chytra Polaczka pracowała w defenzywie, faszystka, pomagała kontrrewolucji i wrogom Sowietów, była w Piepieesie (zachowuję oryginalną wymowę), kumała się z oficerami, pisała drobnomieszczańskie ("mielkoburżuaznyje") książki, my wszystko o niej wiemy".

— "Była faszystką, tak czy nie, odpowiadaj".

Milczałem z uczuciem większej jeszcze pogardy i z uczuciem bardzo bolesnego smutku.

— "Była w Piepieesie?"

Milczałem tak samo jak przedtem, ale czułem, że ściągają ze mnie skórę.

— "Kumała się z waszymi oficerami? Gadaj. Ty wiesz. Mów prędzej".

Wyjął nagan z kabury i spytał: Wiesz co to jest?

Odpowiedziałem z jakimś żałośnie spokojnym uśmiechem. Byłem ogromnie zmęczony. Powiedziałem szeptem:

— "Daj mi do ręki, to się dowiesz, czy wiem".

Wstał purpurowy. Schował rewolwer i krzyknął, chyba ryknął raczej:

— "Siedzi. My was wszystkich wsadzimy jak tę p...... (w rosyjskim słowniku jeszcze gorzej (b...)".

Wstałem po tym słowie bardzo szybko i nie wiem dlaczego palnąłem to głupstwo, ogromne głupstwo, które mnie po tem tyle kosztowało. Byłem bez rozumu, złość, żal, gniew, jakaś potworna gorycz wybuchły we mnie i uderzyłem pięścią w stół, zapominając się zupełnie i ryknąłem:

— "Kłamstwo. Nieprawda..."

Trzech agentów, którzy jak się okazało, byli w sąsiednim pokoju i podsłuchiwali cały czas, wskoczyło na mnie i potem nastąpiły bardzo przykre rzeczy, które pomijam, ponieważ nie należą do sprawy. Ale do sprawy należała wtedy natychmiastowa refleksja, czy wyrok na Wandę Wasilewską był już wydany wcześniej zanim wstąpiła ona do partji, zanim wyszła po raz czwarty zamąż, zanim została prezesem Związku Patrjotów Polskich, pułkownikiem Armji Czerwonej? Błyskawicznie postawiłem sobie to pytanie, pytanie bardzo trzeźwe i bynajmniej nie lekkomyślne. Czy dlatego brnęła ona tak, że wiedziała o tem, lub że o tem nie wiedziała?

Smutna jest bardzo ta moja szara książka. Żeby to choć była książeczka o dawnych czasach, o tragicznej epoce naszego XVIII wieku, albo książka o obcych, nie o Polakach.

Gdy patrzymy na kłębowisko międzynarodowych intryg politycznych i na tę grupę miotającą się jak w gorączce, jak w szaleńczym obłędzie, przychodzi nam na myśl uporczywie taki obraz z niedawnej przeszłości. W kilka tygodni po tragicznym i ponurym wrześniu, kiedy cała Polska opłakiwała swych poległych w boju ojców, synów, mężów i braci i kiedy Gestapo szalało już na dobre w podbitej Polsce i wyciągało nocą z mieszkań polskich pisarzy i oficerów, żołnierzy i studentów, chłopów i robotników, zajechała przed pewien dom we Lwowie, okupowany przez Armję Czerwoną elegancka nowiutka limuzyna a za nią tuż stanął na ulicy duży wóz ciężarowy z meblami Z limuzynu wysiedli prawdziwi agenci Gestapo i ku zdziwieniu przechodniów wyprowadzili z auta śliczną szarowłosą, młodziutką dziewczynę i oddali ją wysokiej, trochę otyłej pani. Z ciężarówki robotnicy zaczęli wynosić meble i wnosić je do domu.

Ta wysoka otyła pani to była dzisiejsza pani Wanda Wasilewska. A ta śliczna, szarowłosa dziewczynka, przywieziona elegancką maszyną przez egentów Gestapo — to była jej córka Ewa, którą na mocy urzędowego porozumienia między władzami sowieckimi i niemieckimi przywieziono z okupowanej przez Niemców Warszawy i oddano matce we Lwowie. I przywieziono również meble z jej warszawskiego mieszkania. Agenci Gestapo spełnili swe zadanie, zasalutowali i odjechali do Warszawy na swą robotę. Mokrą robotę. Odjechali, aby wozić takie same, młodziutkie, nie do mieszkań ich matek, ale do niemieckich obozów koncentracyjnych lub do domów hańby. Wyjechali, aby wywozić córki zwyczajnych, walczących z Niemcami polskich rodziców, nieuprzywilejowanych i walczących... bez kompromisu.

Czy, pytamy, była i tu już wtedy różnica między nami i.... jest teraz również; czy to może nie jest wogóle rożnica?

LUDWIK BERGER

WOJNA W EUROPIE TRWA

Jaka będzie Europa po wojnie? Gdy na to pytanie starają się odpowiedzieć mieszkańcy czynszówek, jeszcze nie zdemobilizowani żołnierze i miliony inwalidów fizycznych i duchowych tej strasznej wojny — w międzyczasie kto formułuje realną odpowiedź wśród ruin i zgliszcz, wśród wygłodzonej i zdezorganizowanej ludności różnych krajów europejskich. W różnych krajach europejskich funkcjonuje zarządzana centralnie z Moskwy, partja komunistyczna. Ale nie jest to ta partja komunistyczna z przed 1939 r., która agitacją polityczną zdążała do zdobycie władzy w poszczególnych środowiskach poszczególnych krajów. Obecna, **zmodernizowna partja komunistyczna** w krajach powojennej Europy występuje pod różnorakimi postaciami. Przedewszystkiem partja komunistyczna odziedziczyła po okresie wojny różne "gwardje ludowe", różne formacje "partyzantów", różne "Elasy". Te wewnętrzne siły zbrojne, podległe partji a nie państwu, stanowią o mocy wykonawczej planów politycznych partji komunistycznej w krajach europejskich. Niema wprawdzie formalnie "Kominternu". Ale partje komunistyczne i ich siły zbrojne posiadają odziedziczone jeszcze z czasów wojny "strategiczne porozumienia" wojsk partyzanckich. I gdy Moskwa przeciwna jest federowaniu się państw europejskich w silne, międzypaństwowe porozumienia, a woli raczej, by poszczególne państwa rozgrywały pomiędzy sobą spory terytorialne, to jednk zgadza się na to, **by istniały porozumienia formacyj partyzanckich różnych państw, kierowanych przez jedną partję.** By nie powstała federacja państw Europy wschodniej i środkowej, puszczono w ruch całą mechanikę nieporozumień międzypaństwowych. Istnieje spór Rumunii z Węgrami o Transsylwanję, Bułgarji z Jugosławją o Macedonję północną, Bułgrji z Rumunją o Dobrudżę południową, Austrji z Jugosławją o terytorja Istrji. Obok mechanizmu różniczkującego państwa Europy wschodniej i centralnej działa mechanizm całkujący. Działa **federacja jednej partji**, działa federacja sił zbrojnych tej partji, to jest partyzantów. Ponieważ formalnie zlikwidowano Komintern, stworzono na jego miejsce nowopomyślane "związki zawodowe", "fronty chłopskie", nazywane gdzieniegdzie "samopomocami chłopskimi". To, co w Rumunji nosi nazwę "frontu chłopów" nazywa się w Polsce "samopomocą chłopską". To, co w Austrji, na Węgrzech, a ostatnio w Niemczech nosi nazwę "syndykatów robotniczych" nosi w Polsce, w Rumunji, w Jugosławji, w Bułgarji nazwę "związków zawodowych". Ale statuty organizacyjne "frontów chłopskich" i "samopomocy chłopskiej", "syndykatów robotniczych" i "związków zawodowych" są odbijane na tym samym cyklostylu i wobec tego niczem się nie różnią pomiędzy sobą.

Tzw. front chłopski i związki zawodowe, opierające się o odpowiednio skonstruowany centralny zarząd międzypaństwowy są szczególnie przydatne w krajach Europy wschodniej i środkowej, gdzie zarówno liczebność, jak i popularność jawnej partji komunistycznej są bardzo ograniczone. Organizacje firmowane nazwami frontów czy samopomocy chłopskich, syndykatów czy związków zawodowych spełniają bez zarzutu **zadania przestarzałych, bo przedwojennych partji komunistycznych.** Znany jest, fakt, że związek zawodowy drukarzy w Rumunji ustanowił cenzurę polityczną nad enuncjacjami rządu rumuńskiego. Bez zezwolenia związku drukarzy nie mogły, a być może nie mogą jeszcze i nadal, ukazywać się w Rumunji nie tylko oświadczenia polityczne, ale także i ustawy. Jedna z rezolucyj frontu chłopskiego w Rumunji zobowiązywała rząd do bezwarunkowego wysunięcia pretensji odnośnie przyłączenia Transylwanji. W jednem z kwietniowych oświadczeń dowódcy polskiej armji podległej kontroli sowieckiej, generała Żymierskiego, znajduje się stwierdzenie, że "demokratyczni oficerowie" armji polskiej rekrutowani są z pośród robotniczych związków zawodowych. Trudno jest określić granicę gdzie tak pojęte związki zawodowe przechodzą poprostu w tzw. partję robotniczą, która naprzykład na terenie Polski pod nazwą polskiej partji robotniczej jest zwyczajnym odpowiednikiem dawnej partji komunistycznej. W krajach Europy wschodniej i środkowej okazała się potrzeba tworzenia dalszych form zastępczych dla niemodnej już, i mało popularnej, partji komunistycznej. W tym celu poza wspomnianemi organizacjami "stanowymi", a więc chłopskimi i robotniczymi, i poza utrzymanym w mocy z okresu okupacji niemieckiej zbrojnymi formacjami partyzanckimi, tworzy się coraz częściej **duplikaty różnego rodzaju partji politycznych** według dawnych nazw tych partyj, ale o innym składzie zarządu i oczywiście o zgoła innem zadaniu. Najbardziej znane nam są przykłady z tej ostatniej dziedziny organizowania życia powojennego w Europie ze stosunków lubelskich. Lubelski PPS, lubelskie Stronnictwo Ludowe, lubelskie Stronnictwo Demokratyczne, to różne szyldy tej samej organizacji komunistycznej.

W ten sposób w europejskiej strefie wpływów sowieckich ma swój ciąg dalszy wojna przeciw przedwojennemu stanowi rzeczy, przeciw przedwojennemu ustrojowi i przeciw przedwojennej przynależności kulturalnej. Brak kontaktu z krajami podległymi sowieckiej strefie wpływów, nie pozwala światu zachodniemu widzieć i wiedzieć tego, że kraje te znajdują sę nadal w stanie wojny. Ale byłoby łudzeniem się, gdyby przyjąć łatwe rozumowanie, że majowe wstrzymanie ognia na froncie przeciwniemieckim, było wstrzymaniem ognia na froncie... Europy.

PIĘKNO POLSKI



PROCESJA HUCULSKA

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

NOWE NOCE LISTOPADOWE

AKT DRUGI

Blade słońce lisopadowe rzuca słabe odblaski na błotnistą ziemię podwórka, na blaszane poddasze ganku z lewej strony, na złocone ramy obrazów opartych o ścianę willi Świdrzyńskich, pocentkowanej odpryskami pocisków. Nad schodami ganku czernieje okno, w którym nie pozostało ani jednej całej szyby. Po prawej ręce widać drewniane sztachety, za nimi część czyjegoś schludnie utrzymanego ogródka a w głębi widok na przedmieście Warszawy, o zwęglonych kominach zbombardowanych domów. Tuż za gankiem widnieją tylne zabłocone koła furki. Po tej stronie ogrodzenia, czyli w ogródku państwa Świdrzyńskich gdzie zielenią się jeszcze tylko krzaki tui — biegnie rząd grządek, wilgotnych, pokrytych zgniłymi liśćmi. Ale wszystkie widoczne przejścia między grządkami są puste, żadnej deski lub kawałka drzwi nie widać. Jakiś pokraczny jegomość, z wyglądu należący do klasy robotniczej, o kulawej nadze, którą ustawicznie przy chodzeniu musi podciągać przy pomocy rzemyka — puka do drzwi, potem schodzi z ganku, coś burcząc, — jest widocznie zniechęcony, w złym humorze. Kusztykając podchodzi do okna i wali w parapet. W tej samej chwili, na ścieżce posypanej żwirem, w sąsiednim ogródku ukazuje się pan w brązowym kapeluszu z białym sznurkiem dokoła, w zielonej kurtce myśliwskiej ze skórzanymi guzikami. Jest to sąsiad Swidrzyńskich, pan Leopold Krygier. Metodycznym krokiem podchodzi do ogrodzenia i wyjmuje z kieszeni fajkę i gumową torebkę.

WILCZYNSKI — Hohe, proszę państwa! Koks przywiozłem! Panie Swidrzyński... — (Gderając idzie za róg, podciągając przy każdym kroku prawą nogę.) — Oj, jak ja tego nie lubię.

KRYGIER — Próbował pan od frontu?

WILCZYNSKI — Próbowałem. Cóż kiedy się ludzie tak umawiają. — (Przystając) — Ja im, panie, koks przywiozłem. Przyuważa pan, co to teraz znaczy. Konia mi tylko na dwie godziny wypożyczono. — (Skręca za róg, słychać "Jasiu, Jasiu!" i klepanie po końskiej szyi.)

KRYGIER — Zaglądał pan do okien?

WILCZYNSKI (ukazując się z za roku) — Co ja będę do cudzych okień zaglądał. (Siada na stopniu ganku) — Nie ma co. Trzeba czekać.

KRYGIER, zapalając fajeczkę. — Cóż słychać nowego?

WILCZYNSKI — A co ma być słychać? Niemców nie zadługo pobiją. Oj, jak będą stąd zmiatać!.. Ot, panie co słychać. — (Krygier zastyga z fajką w ręku, śmiejąc się krótko.) — Kiedyż ja nie żartuję, panie! Bo to tylko z pozoru dobry żołnierz. (Krygier śmieje się ponownie) — Do pierwszej klęski.

KRYGIER, (zachęcająco) — No, no, gadaj pan dalej.

WILCZYNSKI — Jemu trzeba tylko rozkazywać. Wszystko jedno, byle dureń! Bez rozkazu nie może!

KRYGIER — Taak... — (Po dość złowrogiej przerwie) — Ale dureń jednak zwyciężył.

WILCZYNSKI — A jak dureń zwycięży, to przestanie być durniem? (Patrząc gdzieś ponad ramieniem Krygiera) — Panu się udało! Jak pan to zrobił, że wszystkie szyby całe?

KRYGIER — Bo jak się zaczęło bombardowanie, powyjmowałem ramy i położyłem na podłodze na poduszkach. Trzeba być przewidującym.

WILCZYNSKI (zachwycony) — Tiu.... (ciszej) — A pan w czasie oblężenia gdzie był?

KRYGIER — O tym się nie mówi.

WILCZYNSKI — Nie chcę wiedzieć. (przerwa) Ślicznie u pana w ogródku, przyjemnie patrzeć. — (Kręcąc głową z humorystycznym podziwem) — Trochę nawet, jak u nich. To znaczy, u tych, rozumie pan...? (Krygier kiwa potwierdzająco) — U nich nawet kwiatki na grządkach w czwórkach rosną. Raz, dwa! raz, dwa! Jak na rewii wojskowej... (Przypomniawszy sobie o czymś patrzy na cebulę) — Wpół do jedenastej, jak Boga kocham! I chciej tu człowiekowi zrobić grzeczność.

KRYGIER — Pan koks sprzedaje?

WILCZYNSKI — Nie, ja to panu Swidrzyńskiemu w prezencie. (wstaje i kusztykając podchodzi do żywopłotu. Poufnie.) — Ale herbatę mam. Nie wiele, ale mam. Cejlońska. Jak pan potrzebuje, to dam panu swój adres. Nazywam się Wilczyński.

KRYGIER (wyjmując notes) — Pan Wilczyński?

WILCZYNSKI — Owszem. (Wzdychając) — Teeek panie. Doczekaliśmy się czasów.

KRYGIER (z nieoczekiwanym sentymentalnym dreszczem) — Oh.. Okropnie! Okropnie jestem wymęczony!... — (Oparty o ogrodzenie patrzy w niebo.)

WILCZYNSKI — Nie tylko pan!

KRYGIER (boleśnie),—Żeby jeden człowiek mógł tak się znęcać nad drugim!

WILCZYNSKI — Otóż to!

KRYGIER — Czy pan kiedy widział, panie Wilczyński, takie złote włosy, takie blond... blond... (Wilczyński marszcząc nos przypatruje mu się ze zdziwieniem) — Nie! No niech pan powie, czy widział pan kiedy takie szare, jasne — jasne spojrzenie. — (Wilczyński jeszcze bardziej zdziwiony odrzuca głowę wtył) — I oto.... nagle.... w oczach, od których serce u pana zamierało — słuchaj pan, słuchaj! — w tych właśnie oczach spostrzega pan... ze zgrozą obrażonego i urzeczonego tą obrazą kochanka) ...zielony blask — (uderzając się w pierś) — ..zielony płomień!

WILCZYNSKI — ehe, hehe, heee he... — (śmieje się przez chwilę, ale bynajmniej nie jest to śmiech wesoły.) — A potem pięścią w twarz, z prawej strony, z lewej! Raus Polnische Schwein!... Tak... widzieliśmy te oczy! My ten wzroczek sobie zapamiętamy. Pan to świetnie opisał!

KRYGIER (trochę zmieszany) — Kiedyż... Ja mówiłem o pewnej kobiecie.

WILCZYNSKI (współczująco) — A co, nie daj Boże? Przymknęli ją?

KRYGIER — Nie.. Nie.. (Wskazując palcem serce) — ...Tutaj.

WILCZYNSKI (tłumiąc odruch niezadowolenia) — O.... o.... — (zmieniając temat rozmowy) — Piwnica otwarta, można było by koks zrzucać nie czekając. Tylko bez Urszuli to się chyba nie da.

KRYGIER — Bez panny Urszuli?

WILCZYNSKI — No.. Ani Swidrzyński nie jest tego, tęgi... ani ja z moją nogą... To chyba ona. Weźmie łopatę i wprost do okienka.

KRYGIER (w świętobliwym zgorszeniu) — Nie! ale to przecież niemożliwe! Jej ręce nie mogą utrzymać łopaty.

WILCZYNSKI — Jeszcze jak mogą. Dziewczyna jak lala.

KRYGIER — Nie! Ale ja jako sąsiad... Mogę pomóc! ee... ja tu zaraz przyszlę ludzi....

WILCZYNSKI — A pan ma?

KRYGIER — To mi dadzą. Znajdę! Przecież trzeba sobie teraz pomagać. Zaraz, zaraz! O, już wiem... Nawet będzie to bardzo dobrze! — (Przyciskając łokcie do żebcr, drobnym kroczkiem biegnie ścieżką na prawo).

WILCZYNSKI — Kiedyż tam tylko pół tonny. — (Krygier znika. Wilczyński wzrusza ramieniem, odchodzi od ogrodzenia i kusztyka z powrotem. W chwili gdy siada na ganku, w oknie nad nim ukazuje się Swidrzyński.

SWIDRZYNSKI (półgłosem) — Panie Wilczyński.

WILCZYNSKI (podnosząc głowę) — Jak? Pan w domu?

SWIDRZYNSKI — Nie chciałcm wychodzić, póki pan z nim rozmawiał.

WILCZYNSKI (obrażony) — Dziwię się, panie. — Ja koks przywiozłem.

SWIDRZYNSKI — Niech pan zaczeka. (Znika w oknie, i po chwili wychodzi na ganek. Ściskając dłoń Wilczyńskiego). — Wielkie dzięki.

WILCZYNSKI — Ludzka rzecz!

SWIDRZYNSKI (wskazując w stronę krygierowskiej willi.) — Ale z nim, niech pan lepiej będzie ostrożny.

WILCZYNSKI (z pewnym niepokojem) — Cóż ja.... ja nic....

SWIDRZYNSKI — Kiedyś panu o nim opowiem. Siądźmy sobie.

WILCZYNSKI — Ja jeszcze panu dwa obrazki przywiozłem. (Podnosi oparte o mur domu obrazy. Teraz dopiero widzimy na jednym Kościuszkę na koniu, na drugim czerwony zachód słońca, zielony las i niebieską rzekę.

SWIDRZYNSKI, (z wyrzutem) — No panie!

WILCZYNSKI — Nie mierzyłem, ale tak, na oko. — (Podnosi do okiennej ramy obraz). — Powinien pasować. Odrobinę tylko obetniemy.

SWIDRZYNSKI — Nie szkoda panu!

WILCZYNSKI — Obrazki zabiorę. To rodzinne. (Siada obok Swidrzyńskiego trzymając Kościuszkę na kolanach) — My to zaraz ostrożnie wyjmiemy. Nicwolno tylko podważać, bo pęknie.

SWIDRZYNSKI (półgłosem). — Słyszał pan o wczorajszym?

WILCZYNSKI (podnosząc oczy z nad srebrnych okularów). — A co?

SWIDRZYNSKI — Trzech oficerów uciekło.

WILCZYNSKI — Tiu!.... stamtąd?

SWIDRZYNSKI — Tak. Jeden.... Przypadkowo wiem nawet jak. Ludzie opowiadali.. Skoczył do bramy. Oni za nim. On do klatki schodowej. Na czwarte piętro. Oni za nim. A tu, jak na złość, praczka ze strychu bieliznę znosi. I jak nie chwyci go za ramię!

WILCZYNSKI — O psianoga! Pomyślała — złodziej?

SWIDRZYNSKI — Tak. Ale on do niej: Niech żyje Polska!

WILCZYNSKI — No i co?

SWIDRZYNSKI — Odsunęła się od ściany. A potem szeptem: Wariat! Uważaj! Dach się zawali.. i cały kosz bielizny rozsypała na schody. Pod nogi Niemcom.

WILCZYNSKI, (klaszcząc zaciera ręce) — Wyznała się kobieta!

SWIDRZYNSKI — Pewnie! Bo jak wylazł na strych, patrzy, same zwęglone bele! Miał chłop szczęście wyjątkowe, że się pod nim nie zwaliły. Na skrawku nadłamanym węgla siedział i nie runęło! Przesunął się na sąsiednią kamienicę i za kominem do zmierzchu przeleżał.

WILCZYNSKI — Potem zwiał?

SWIDRZYNSKI — Zwiał, panie!.. (Z przekonanicm). — Zwiał! Już jest teraz na wsi.

WILCZYNSKI — Ja bym tego nie potrafił. Mnie od samego słyszenia trzęsie. No, no.... Daj mu Boże! — (Wyjmując szkło z oprawy). — Widzi pan, nie jest za mała. (Wstając). — Chryste Panie, a jak z tym koksem? Cudzy koń!

SWIDRZYNSKI — Właśnie, właśnie. Chciałcm o coś pana poprosić. Po co znowu ma się pan fatygować, ze swoją chorą nogą. Mam tu akurat kogoś, kto chętnie panu pomoże. Za woźnicę pojedzie. Zabierze panu furkę z powrotem.

WILCZYNSKI — A po co? Kiedy ja sam potrafię.

SWIDRZYNSKI — Nie! (bierze go za rękaw). — Zrób pan to dla mnie... bo my gościa mamy.

WILCZYNSKI (przeciągle) — Gościa macie?... (zastyga ze szkłem w rękach).

SWIDRZYNSKI (jakby od niechcenia) — Tak. Od wczoraj u nas mieszka.

WILCZYNSKI (przez szkło patrząc na Swidrzyńskiego) — Od... ee.... wczoraj?

SWIDRZYNSKI — Właśnie! On by panu chętnie furkę do domu zawiózł. To mój siostrzeniec.

WILCZYNSKI — emhy... —chrząka. — No, jak krewny, to krewny.... Może pan mieć krewnych, czemu nie.

SWIDRZYNSKI — Zgoda?.... Ja go zaraz tu zawołam. (Woła) — Mietku! — (Widzimy Górskiego z początku w oknie jak przechodzi przez pokój, potem otwierają się drzwi i Górski wychodzi na ganek. Jest w wysokich butach, granatowych spodniach i bluzie; od biedy może ujść za robotnika. Swidrzyński pokazując Wilczyńskiego) — Przedstaw się panu.

WILCZYNSKI (trzymając oburącz szkło powstaje). — Co....! (Odstawia szkło na bok.) ....O mało nie stłukłem! — (Ściska dłoń Górskiego, nie w siłach oderwać od niego oczu, ni to ze strachu, ni to z szacunkiem): — Bardzo przyjemnie. Bardzo mi przyjemnie.

SWIDRZYNSKI — Pomożesz panu.... No, Mietku!

GÓRSKI — Dobra!... (Opiera się o parapct i krzyczy w głąb kuchni). — Urszula, daj łopatę!.... — (W oknie z łopatą w ręku ukazuje się Urszula. Jest w białej kamizelce z angory, ramiona ma nagie).

WILCZYNSKI — O dzień dobry, Urszuli. Nie zimno?

URSZULA — Dzień dobry. Z rana ciepło. — (Oddaje łopatę i zastyga w oknie, patrząc w prawo, tam gdzie się znajduje widocznie willa Krygiera i widnicje kawałek bocznej uliczki.

WILCZYNSKI — Tylko... a co z tym będzie? — (Wskazując ogródek Krygiera).

SWIDRZYNSKI — Z Krygierem?

WILCZYNSKI — Bo jak się dowiedział, że Urszula ma sama koks sypać, pobiegł po robotników. Nie wiem, kogo on ta ma.

SWIDRZYNSKI — Słyszałaś?

URSZULA (patrząc przed siebie) — Słyszałam... — (Głosem bez żadnej intonacji). — I nawet widzę stąd, kogo on przysłał. — (Wszyscy odwracają się. Z prawej strony dochodzi czyjś męski głos): "Czy to jest willa pana Świdrzyńskiego?".. (Urszula robi ruch ręką mający oznaczać: — Naokoło!... Wtedy wszyscy odwracają się i patrzą w lewo. Po chwili w przejściu między domem a furką ukazuje się dwóch Żydów z przepaskami na ramionach, na przepaskach widnieją niebieskie gwiazdy Syjonu. W rękach obaj dźwigają łopaty. Palce mają spuchnięte, czerwone. Picrwszy z Żydów, szczupły, niski, pejsaty, ma twarz związaną chustką do nosa. Drugi — ogolony, różowy, w kurtce z zajęczym kołnie-

rzem, wygląda na bardziej inteligentnego i zamożnego.

PIERWSZY ŻYD (wskazując furkę) — To ten wągiel trzeba zrzucać do piwnicy?

SWIDRZYNSKI — Kto panów przysłał?

PIERWSZY ŻYD (przerażany) — My to zaraz, proszę pana!

DRUGI ŻYD (rozsądnie i bacznie przyglądając się Swidrzyńskiemu)— Ntz, czekaj pan, panie!.. Przysłał nas fuerer od robót... to znaczy najstarszy z konwoju...

SWIDRZYNSKI — Sam przysłał?

PIERWSZY ŻYD — Co znaczy sam? Przyszedł ten pan w zielonej biekiesze i powiedział temu od robót..

DRUGI ŻYD (bardzo niezadowolony) — Ntz.. Ja nic nie widziałem!

PIERWSZY ŻYD, (patrząc na towarzysza, domyśla się że powiedział za dużo i przeraża się jeszcze bardziej). — Właściwie ja też nie wiem

GÓRSKI — Gdzie pracowaliście?

PIERWSZY ŻYD — Wczoraj koło Starego Fortu, a dzisiaj tam!..

SWIDRZYNSKI — A więc jak wyjdą panowie przez furtkę, proszę skręcić na prawo i wciąż wdół, wdół, aż do rzeki. Łopaty rzucicie po drodze. Stamtąd już można spokojnie do miasta.

PIERWSZY ŻYD (ze strachem zerknąwszy na towarzysza). — My? ...Nie, proszę pana, ja przyszedłem żeby węgiel!....

SWIDRZYNSKI (unosząc się) — A ja nie pozwolę!

PIERWSZY ŻYD (niemal drżąc) — Proszę pana...

DRUGI ŻYD (przerywa niecierpliwie) — Ntz.. przestń pan! Panie Swidrzyński, ja zauważyłem, że jest pan porządny człowiek. Może pan mnie zna z widzenia. Miałem przecież jeden z najlepszych antykwariatów w Warszawie. Napewno pan mnie widział. Zdaje mi się, że to pan u mnie kupił komodę z okresu Księstwa Warszawskiego? Ale ja się pytam, co komu dzisiaj z takiej komody?.. Otóż, w każdym razie ja mam do pana zaufanie. Przypuszczam, że coś jest nie w porządku. Bo i skąd taki człowiek jak pan ma być w to wplątany?.. Ale niechże pan zrozumie i nasze położenie! Jeśli my nie wrócimy, to przecież oni mają nasze adresy! A w domu są dzieci, żony, rodzice!... Co oni z nimi zrobią! — (wskazując pierwszego Żyda) — On coś o tym wie! Jemu żonę zbito tak, że ona już ze szpitala chyba nie wyjdzie! Ma teraz same dzieci tylko!

SWIDRZYNSKI — Ale przynajmniej możecie usiąść. Odpocząć. Godzinę lub drugą.

PIERWSZY ŻYD — A pan myśli, że oni się odrazu nie dowiedzą?

DRUGI ŻYD— Przecież chodzi o pierwszorzędną rzecz — o życie! Będziemy sobie ten węgielek powolutku sypali. Gdyby nam się taka robota zdarzyła codzień, to był by raj!..

SWIDRZYNSKI (wybuchając) — Żeby oni przysyłali was do mnie! Wracajcie! Proszę powiedzieć, że ten pan nie chciał, że was odesłał!

URSZULA, (półgłosem) — Dziadku...

Ciąg dalszy nastąpi.

ARKADY FIEDLER

RZEKA POKOJU W KANADZIE

1) PRELUDJUM NA PACYFIKU

Wczesną wiosną fatalnego roku 1939 jechałem z Europy na Pacyfik na francuskim statku "Saggitaire". Pacyfik był wtedy jeszcze Oceanem Spokojnym, owianym romantyką Piotra Loti, opływał wciąż jeszcze urokiem lazurowych lagun i przyciągał z dusznej Europy i z nerwowej Ameryki specjalny typ ludzi: ćwierćbogów, ćwierć-faunow, ćwierć-Gauguinów i ćwierć-Stevensonów.

Roiło się od nich na naszym statku. Marzyli o wielkiem przeżyciu na Morzach Południowych i o słońcu na białych plażach, a właściwie nosili w sobie samych pełno tego słońca ,które pragnęli gasić na Tahiti. Najwięcej wśród nich jechało Brytyjczyków. Był to, słowem, statek znakomitych koniaków, łatwych romansów i rozkosznej beztroski ,która (może niestety!) raz na zawsze, a przynajmniej na to stulecie, przepadła z kretesem w kilka miesięcy później, we wrześniu.

Na statku jechała również mała grupa ludzi, trzech czy czterech, zupełnie odmiennego pokroju. Ludzi z innego świata. Nie byli weseli, ale też i nie smutni. Raczej cisi i skupieni. Młodzi Niemcy z Sudetów, do niedawna działacze socjalno-demokratyczni, przeciwnicy Henleina, którzy po Monachium uciekać musieli przed zemstą swastyki nie tylko z Sudetów, lecz, jak się okazało, i z Czechosłowacji.

Wyróżniał się między nimi młody inteligent, Żyd z pochodzenia, Kurt Braun, uprzejmy, układny, bez kompleksów rasowych, człowiek na prawdę miły i przytem biegły w języku angielskim. Na rozszumionym statku trzymał się nieco na uboczu, lecz pewnego razu Brytyjczycy wciągnęli go do swej ochoczej kompanji na whisky, jako że umiał tak świetnie po angielsku. Przystał, lecz poprosił, by mógł wygłosić toast.

Ku osłupieniu młodych Brytyjczyków, i wszystkich innych, obecnych w salonie, Braun uderzył w jakiś niezwykle poważny ton, aż ludzi z wesołego bractwa prawdziwie zatkało: Braun w uczciwych, mocnych słowach wyraził swą wielką wdzięczność rządowi Jego Królewskiej Mości i zakończył toastem na cześć króla. Uchodźca z Sudetów, niemiecki Żyd — z toastem na cześć angielskiego króla! "Saggitaire" lubił silne i niezwykłe emocje, lecz to była chyba najosobliwsza z sensacji, jaka spadła na nasz statek na wodach Pacyfiku.

Później w podróży miewałem z Braunem częste i przyjazne gawędy. Jako Polak, jadący na Tahiti, stałem gdzieś na duchowem pograniczu między wesołymi Brytyjczykami a zatroskanym kontynentem europejskim, więc Braun chętnie ze mną rozmawiał i lubił mi się zwierzać. Wdzięczność jego dla Wielkiej Brytanji miała w istocie całkiem uzasadnione przyczyny: Brytanja nie tylko wyciągnęła go z kotła europejskiego, lecz wyrobiła mu prawo stałego pobytu w Australji, zapłaciła mu bilet 2. klasy z Europy do Sydney i nawet na rozpoczęcie jakiejkolwiek pracy udzieliła mu (bezzwrotnej, zdaje mi się) pożyczki w wysokości kilkuset funtów.

Gdy wyraziłem przypuszczenie, że spotkał go chyba jakiś wyjątkowy przywilej, może dzięki jego znajomości angielszczyzny, Braun energicznie zaprzeczył:

— Nie! Wielu tak samo dostało!... To znaczy: wszyscy z Sudetów, którzy dla ważnych politycznych przyczyn musieli i chcieli uchodzić z kraju!...

— Czy wielu ich było?

— Trudno mi powiedzieć. W każdym razie dobrych kilkuset.

Więc wtedy, na rozbawionym statku, wśród rumb i mamideł szczęśliwych plaż, natknąłem się na pierwsze rany, zadane w naszej epoce ludzkości. Lecz równocześnie natknąłem się na wielką potęgę moralną, gojącą te rany. W brytyjskiej umysłowości muszą być silne nurty humanitaryzmu, mało reklamowane, często zapoznane, lecz twórcze i praktyczne. Braun, którego życie złamano w Sudetach, jechał do Australji, by rozpocząć tam nowe życie, jako hojny dar Wielkiej Brytanji. Jechał z wielką otuchą.

Że otucha jego nie była złudna, przekonałem się w kilka lat później, w 1945 roku, gdy po raz drugi zwiedziłem Kanadę. Poznałem tu dzieje osiedli nad rzeką Pokoju, Peace River, w Kolumbji Brytyjskiej. Uchodźcy z Sudetów przybyli tu w większej ilości, wyrzuceni ze swego kraju bez grosza przy duszy, a dziś po pięciu latach, tworzą kwitnącą kolonję farmerów. Imperjum Brytyjskie rozwiązało tu trudny problem osiedleńczy ze zdrową rozwagą, krzepkim altruizmem i z wielkiem powodzeniem.

Problem, przed którym stanąć mogą wszyscy, którzy znajdą się w sytuacji uchodźców sudeckich z 1939 roku, i dlatego warto poznać dokładniej dzieje osiedli nad rzeką Pokoju w Kanadzie.

CZEŚĆ II: PRECEDENS NIEZAPOMNIANEJ WAGI

Podkreślam: Latem 1939 Imperjum Brytyjskie, wykonując jeden z najciekawszych eksperymentów osiedleńczych ostatnich czasów, dało i precedens i piękny przykład niesienia pomocy uchodźcom politycznym z centralnej Europy. Pomocy, powiedzmy zaraz na wstępie, tak szczodrej i wielkodusznej, że chlubę przynosi Wielkiej Brytanji. Ktoś zawoła, że W. Brytanja miała obowiązek moralny wobec ofiar układu monachijskiego. Obowiązek moralny! Wiemy, jak łatwo z tego dziś wykręcić się sianem. Tymczasem Londyn wobec tych uchodźców nie wykręcił się sianem, lecz wkroczył z energiczną pomocą.

Po Monachium, w wyniku zajęcia Sudetów przez Hitlera, kilkuset Niemców musiało uciekać z kraju. Byli to ludzie zatrudnieni przeważnie w przemyśle, wszyscy aktywni socjal-demokraci, którzy, przeciwstawiając się do niedawna nazizmowi, znaleźli się teraz na bruku w Pradze. Wielka Brytanja postanowiła ich ratować. Pomoc jej w głównych zarysach wyglądała w ten sposób, że Londyn dał środki materjalne (tytułem pożyczki dla rządu czechosłowackiego) i za te pieniądze rozlokowywał uchodźców po Imperjum Brytyjskim. Należy zaznaczyć, że poszczególne Dominja nie ponosiły żadnych kosztów i tylko przyjmowały ludzi wraz z pewnym kapitałem.

Kanada przyjęła wiosną i latem 1939 większość tych uchodźców, 374 rodzin i 75 kawalerów, pod warunkiem, że wszyscy pójdą na rolę. Na zagospodarowanie ich Dominjum otrzymało z Londynu po 1500 dolarów na rodzinę a po 900 dol. na nieżonatego, czyli razem 622,4000 dolarów. Rząd kanadyjski przydzielił immigrantów dwom kolejowym towarzystwom, Canadian National Railway Cy i Canadian Pacific Railway Cy, na które spadła odpowiedzialność za dalszy los przybyszów. Dla orjentacji należy wytłumaczyć, że owe kompanje tworzą jak gdyby dwa potężne państwa w państwie, zainteresowane, poza kolejnictwem, niemal wszystkimi dziedzinami ludzkiej aktywności, przedewszystkiem zaś rozwojem rolnictwa: przewóz płodów rolnych decyduje o budżecie kolei w Kanadzie. C.N.R. i C.P.R. to dwa główne narzędzia rozwoju ekonomicznego.

Canadian National Railway osiedliła swych uchodźców pod St. Walburg, Saskatchewan, Can. Pacific Railway — w Tupper, w Kolumbji Brytyjskiej, w t. zw. Peace River Block. Osiedle w Tupper, ze względu na swe położenie w jednym z najciekawszych dystryktów Kanady, zasługuje na szczególną uwagę.

Kanada jest wciąż jeszcze w gorączkowym oddechu pionierskich poczynań i nawet podczas obecnej wojny zrobiono na północnym zachodzie nowe odkrycia bogactw mineralnych, przekraczających niemal wyobraźnię ludzką. Kilkanaście lat temu, w innem miejscu, nad rzeką Pokoju, Peace River, tam gdzie wypływa z Gór Skalistych na niziny Kolumbji Brytyjskiej i Alberty — zwrócono baczniejszą uwagę na ogromne połacie żyznego czarnoziemu. Gdy równocześnie stwierdzono, że klimat jest bardzo znośny, znośniejszy niż np. w Winnipegu, i że poza tem znajdują się tam obfite pokłady najlepszego węgla, zaczęto budować drogi, i dystrykt Rzeki Pokoju stał się zrozumiałym magnesem dla ożywionego pionierstwa rolnego. Ruch osiedleńczy w te strony trwa do dziś.

Grupa Niemców sudeckich, przeznaczona nad rzeką Pokoju, stanowiła element ludzki najmniej chyba zdatny na farmerów; byli to od pokoleń ludzie miasta, rzemieślnicy, robotnicy przemysłowi, dziennikarze i t. d., a wśród nich kilkudziesięciu sekretarzy partyjnych. Ich opiekun, Canada Colonization Association z siedzibą w Winnipegu, instytucja pochodna Can. Pacific Railway, stanęła przed herkulesowem zadaniem. Do wyjątkowych trudności zastosowały wyjątkowy system. Poprostu (mówi się: po prostu, lecz było to podobno bardzo trudne) potraktowała uchodźców jak dorosłe dzieci, które trzeba było uczyć od samego początku abecadła rolniczego i niemal chodzenia na ziemi. Więc z kapitałem, z jakim uchodźcy przybyli do Kanady, stworzyła spółkę p.t. The Creek Development Company, z zarządem, w pierwszych czasach składającym się wyłącznie z samych Kanadyjczyków, urzędników tejże Canada Association. W miarę, jak Niemcy nabywali doświadczenia w rolnictwie, wchodzili do zarządu spółki, aż w końcu objęli go całkowicie.

Zarząd spółki kierował całą akcją osiedleńczą, dbał o wyżywienie w pierwszych czasach, kupował odpowiednie grunta (w miejscowości Tupper, B. C., razem 225,628 akreów), tudzież inwentarz żywy i narzędzia. A co najważniejsze, od samego początku stworzył na miejscu rodzaj szkoły rolniczej, w której kilku stałych instruktorów czuwało dniem i nocą nad pracą uchodźców, ucząc ich wszystkiego, począwszy od ujmowania pługa i dojenia krów. Z ogólnego funduszu osiedla wyznaczono na cele owego kształcenia sumę 17,000 dolarów (to znaczy po 100 dol na rodzinę i 50 dol. na kawalera), lecz suma okazała się za mała, gdyż nadzór instruktorów musiał trwać dłużej, niż przypuszczono pierwotnie. Trwał blisko 4 lata, od marca 1939 do stycznia 1943, lecz przerobił byłych mieszczuchów na pierwszorzędnych farmerów, tak gruntownie wykształconych i dostosowanych do roli, jakich niewielu znajdzie się w Kanadzie.

Oczywiście pierwszą uwagę zarząd zwrócił na domy mieszkalne, stawiane z okrąglaków dla każdej rodziny z osobna, lecz wszystkie w dość zwartych grupach, przypominających układ wsi europejskich. Praca odbywała się z początku jak w społeczeństwie komunistycznem, i podczas gdy część ludzi budowała domy dla siebie i innych, reszta uprawiała na gotowej już roli wspólną pszenicę, o-

wies, ziemniaki i buraki. W miarę, jak który uchodźca się wyuczał dostatecznie i stawał jakim takim farmerem, opuszczał te wspólne pieluszki i szedł na własny grunt, jemu przeznaczony, przewożąc tam swój dom i rozpoczynając samodzielną farmę od karczowania lasu. Las nie był tęgi, łatwy do usunięcia. W ten sposób po pierwszym roku "wyzwoliła" się jedna trzecia uchodźców, po drugim roku — druga trzecia, a reszta po trzecim i czwartym roku.

Jesienią 1940, a więc po dwóch sezonach rolniczych, odpowiednia komisja, składająca się z zarządu osiedla i z wyższych urzędników Canadian Pacific Railway, przeprowadziła selekcję uchodźców co do ich zdatności na rolę. Stwierdziła, że z liczby 188 uchodźców w Tupper, B. C., — 137 wdrożyło się nieźle w nowe warunki farmerskie, natomiast 39 uchodźców należało skierować do pracy przemysłowej w miastach. 12 zaś okazało się niezdolnych do niczego.

Owych 137 famerów tworzy dziś kwitnące — w całem tego słowa znaczeniu — osiedle, które, do pierwotnego, otrzymanego z Londynu kapitału, dorobiło się już ładnego majątku w postaci coraz solidniejszych zabudowań, coraz obfitszych plonów z ziemi, licznych narzędzi i maszyn i niezmiernie bogatego inwentarza żywego. Mr. T.O.F. Herzer, główny dyrektor Canada Colonization Association (która przeprowadziła, jak wspominano, cały ów eksperyment w Tupper i jest zań odpowiedzialna), z niemałą dumą oświadczył mi, że w 1944 wieprze, wyhodowane w Tupper, uznano za najlepszą klasę w całej Kanadzie, lepszą niż w dawno zaprowadzonych ośrodkach rolniczych, jak południowe Ontario lub Manitoba.

Zapytany, jakie były największe trudności w organizowaniu osiedla, Herzer podał, że

a) to, że uchodźcy pochodzili z miasta, a nie ze wsi, co spowodowało przedłużenie szkolenia do 4 lat

b) i co w pierwszym roku wywołało silną depresję umysłów u ludzi, przerzuconych w zupełnie nowe otoczenie.

c) fakt, że własni kierownicy w Czechosłowacji ukrywali przed uchodźcami ich przeznaczenie na rolę w Kanadzie. Uchodźcy do samego przybycia do Kanady byli przekonani, że dostaną tu po 1,500 dolarów na rękę i będą mogli rozejść się po miastach, każdy w swoją **stronę**.

A jakie były dodatnie strony?

Wyrobienie społeczne uchodźców i związany z tem silny zmysł kooperacji, a poza tem rzecz, pozornie tak błaha: lubili zwierzęta. Pozwoliło im to podobno przebyć łatwiej depresję w pierwszym roku, otoczeni licznymi zwierzętami. Prosiaki — powiada Herzer z uśmiechem — karmione często z butelek, można było wabić jak pieski.

Reasumując wszystko o kolonji w Tupper, należy stwierdzić że eksperyment osiedleńczy udał się ponad miarę. Uchodźcy polityczni z Europy Środkowej znaleźli w 1939 nowe warunki życia, w których czują się teraz szczęśliwi; Kanada zaś zyskała przez nich nowy ośrodek twórczej pracy. Do tej imprezy Wielka Brytanja dała pieniądze, Kanada dała ziemię i techniczne doświadczenie, i z kombinacji tych dwóch czynników wyrósł akt pięknego humanitaryzmu i nowa komórka, całkiem pożyteczna dla Imperjum Brytyjskiego.

Jest to precedens, który w dzisiejszych czasach przybiera niepomiernej wagi i którego nie wolno nam spuszczać z oczu.

Czy są możliwości powtórzenia tego samego eksperymentu dziś z obecnymi uchodźcami politycznymi roku 1945?



Nasz 2 Baon Grenadjerów (4 Dywizji Piechoty) nosi barwy szkockie, domu Stuartów

OPINJE I ZDARZENIA

ODPOWIEDŹ PREMJERA

Polski Komitet Obywatelski w New Yorku otrzymał w odpowiedzi na wysłany do premjera Arciszewskiego telegram depeszę następującą:

Bardzo serdecznie dziękuję Polskiemu Komitetowi Obywatelskiemu za jego rezolucję. Taka jedynie rezolucja mogła być powzięta przez uczciwych i lojalnych Polaków w chwili gdy obce jarzmo jest narzucone naszemu krajowi. Stanowisko któreście zajęli jest godne przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Narodu Polskiego który dzisiaj jak i wczoraj nigdy nie ugnie się pod obcym gwałtem i krzywdą. Przyjmijcie zapewnienie że Rząd Polski nigdy się nie zgodzi na utratę wolności i niepodległości Państwa Polskiego. Będzie on zawsze i wszędzie bronił tych najświętszych praw naszego państwa.

Tomasz Arciszewski.

DIVIDE ET IMPERA

Jak wiadomo jednym z najczęściej używanych przez wrogą Polsce a więc przedewszystkiem sowiecką propagandę — argumentów przeciw naszemu państwu była nieszczęsna sprawa Zaolzia załatwiona nie tak jak chciała większość Polaków — ale z tem wszystkiem mająca precedens w sposobach, w jakich Czesi postąpili z nami w tej samej sprawie w czasie inwazji bolszewickiej w 1920 roku. Zdawałoby się, wobec tego, że jeśli jakieś "błędy" polskie się nie powtórzą pod "rządami" marjonetek warszawskich, to spór polsko-czeski, spór między tym razem panem Beneszem i Osubką dwoma wasalami Moskwy.

I otóż okazuje się, że jednym z pierwszych konfliktów na terenie Europy Środkowo-Wschodniej zależnej dziś zupełnie od Moskwy i oczywiście nie mogącej sobie na jakiekolwiek własne inicjatywy i koncepcje pozwolić — jest spór o Zaolzie. "Marszałek" Żymierski burzy się, Osubka protestuje, premjer czeski nie zgadza się — słowem zupełnie sytuacja z lat dawnych, gdy takie gesty i takie samodzielne akcje były wyrazem istotnej suwerenności obu krajów.

Oczywiście, że ani p. Fierlinger, ani p. Osubka nie robią tego na własną rękę i napewno jeden i drugi zgodziliby się na to, coby im Moskwa kazała w tej sprawie postanowić i przedsięwziąć. Ale Moskwa, która mimo swej potęgi woli, żeby podległe jej państwa nie polubiły się czasem i nie porozumiały jako towarzysze niedoli — postanowiła właśnie pokłócić Polaków z Czechami i dać światu widowisko "niepoprawnego polskiego imperjalizmu".

I oto spotkaliśmy już w prasie nowojorskiej opis tego sporu polskoczeskiego, jako dowód po pierwsze, że Polacy są niepoprawni a po drugie, że najwidoczniej mają zupełną swobodę, skoro mogą sobie pozwolić na takie spory.

I o to właśnie chodziło Moskwie, gdy podjudzała przeciw sobie "niepodległą Czechosłowację" i "niepodległą Polskę".

OPTYMIZM DOBRZE, ALE JAKI?

"Nowy Świat" w numerze z poniedziałku 9 lipca, każe nam nie załamywać rąk nad tem, co się stało i wzywa nas do optymizmu, gdyż wszystko jeszcze może się zmienić, jak już nieraz w historji się zmieniało: słowem siedem krów tłustych i siedem krów chudych, jak we śnie Faraona albo, "po pechu zawsze przychodzi szansa", jak w znanej sztuce francuskiej "Azais".

To wezwanie do optymizmu jest pedagogicznie konieczne, ale sądzimy, że wbrew może zamiarom autor nie doprowadził swej myśli do końca.

Jesteśmy i my zdania, że rąk nam załamywać nie wolno i jak zawsze dziś także wzywamy do otuchy. Ale jeżeli mamy wiarę, że to potworne co się stało może się jeszcze odmienić — to wiara ta wypływa tylko z jednego: z postanowienia walki o tę odmianą i przekonania, że ta walka będzie podjęta. Nie będzie ona możliwa, jeśli uśniemy z nadzieją, że jak nieraz bywało i teraz będzie tak samo: po krowach chudych — krowy tłuste. Bo na wszystkie optymistyczne nauki historji można odpowiedzieć najbardziej pesymistycznemi.

Bo była Grecja i upadła: był Rzym i upadł, było Bizancjum i już go niema i niema imperjum hiszpańskiego i portugalskiego.

To czego jestemy świadkami — jest to groźba, że skończy się cała zachodnia kultura; oddanie Polski w niewolę w znanych nam wszystkim warunkach — jest dowodem, że wolność, demokracja, prawo są w śmiertelnem niebezpieczeństwie. Jeśli zdołamy uratować Zachód, prawo i wolność, to jedynie wtedy jeśli będziemy mieli wolę walki i jasną świadomość, że Zachód ginie i trzeba go ratować. "Nowy Świat" jest tak ważnem pismem — iż zdaniem naszem, iść powinien w pierwszym szeregu tych, którzy głoszą ten jedynie twórczy i istotny optymizm.

SZCZĘŚLIWIE OCALAŁE

Wszyscy warszawiacy, wszyscy, którzy czytali w Warszawie książki, to znaczy że byli bywalcami księgarni Tow. Wydawniczego na Mazowieckiej — t. zw. popularnie "Mortkowicza" ze wzruszeniem i radością dowiadują się, że cudem przyjacielskiej opieki ocalała w Polsce pani Janina Mortkowiczowa, wdowa po Jakubie Mortkowiczu, dusza tej księgarni i jej wydawniczych zamierzeń i jej córka i współprcowniczka, znana pisarka i malarka pani Hanka Mortkowicz-Olczakowa.

Obie panie były prawdziwemi dziedziczkami męża i ojca, zakochanemi w literaturze, traktującemi zawód wydawniczy już nietylko jako wielką życiową pasję, ale jako prawdziwą służbę kulturze polskiej, jako propagandę książki wartościowej i pięknie wydanej. Dom Martkowicza wydawał Żeromskiego, Struga, Kuncewiczową, Nałkowską, Marję Dąbrowską, którą pierwszy drukował. Tam wychodziły "Pod znakiem poetów" pierwsze tomy Lechonia, Tuwima, Wierzyńskiego i nowe rzeczy Leśmiana, Staffa, Iłłakowiczówny. Księgarnia na Mazowieckiej, w której pani Janina zawsze skwapliwie rozmawiała z klijentami — była prawdziwym klubem intelektulnym, prawdziwą poradnią, co czytać, co kupić, jakie są nowe wydawnictwa literackie i plastyczne na Zachodzie. Tam też przed 1-ą lub koło 5ej wierni czytelnicy mieli zawsze nadzieję zobaczyć Żeromskiego, Staffa, czy Marję Dąbrowską w rozmowie z panią tego prawdziwego "domu książki polskiej". Naprawdę z całego serca cieszymy się tą dobrą i wzruszającą wieścią i dzielimy tę radość z zamieszkałemi tu w New Yorku panią Edwardą Mortkowicz-Markoe, oddaną współpracowniczką pani Janiny i jej siostrzeńcem prof. dr. Gustawem Bychowskim.

ŻYWI I UMARLI

Wyszedł w Rzymie tomik młodego pisarza Gustawa Herlinga-Grudzińskiego pt. "Żywi i umarli" zawierający szereg szkiców krytycznych, przeważnie drukowanych w prasie II Korpusu.

Herling-Grudziński debiutował w okresie przedwojennym na łamach "Pionu", "Ateneum", "Orki na Ugorze" i "Przemian", odrazu wyróżniając się zarówno talentem pisarskim, przygotowaniem filozoficznem, jak też instynktowną głębokością podejścia do omawianych tematów. Te wszystkie jego zalety — jako krytyka — występują bardzo wyraźnie w jego tomiku, wzbogacone o przeżycia na przestrzeni od Archangielska do Monte Cassino, przeżycia, dające wszystkim rozważaniom Grudzińskiego szerokość perspektyw myślowych i uczuciowych, niełatwe do zdobycia przy biurku, czy za stolikiem w kawiarni Książka zasługuje na szersze omówienie i poważną dyskusję. Grudziński bowiem ma bardzo wyraźne zamiłowania i skłonności intelektualne, gusty literackie, które czynią go indywidualnością ale tem samem zachęcają do polemiki. Jest on w pewnym sensie uczniem zarazem tak sprzecznych między sobą Brzozowskiego, Conrada, Irzykowskiego, ku którym skłania go właśnie wspólna im powaga myśli i poczucie jej odpowiedzialności. Ale jak Irzykowski — Grudziński przez tę powagę zdaje się szukać przedewszystkiem polemiki ideowej, — nie dość zaś interesować się fenomenem jednostki twórczej; na podstawie niektórych jego aluzji możnaby łatwo wywnioskować — że zawsze przeceni Irzykowskiego na niekorzyść Boy'a.

Ale to jest oczywiście temat do obszernego i bardzo solidnie udowodnionego sporu; to co teraz trzeba odrazu zasygnalizować — to ów poziom niezwykły książki, piękno literackie tych głębokich i wymownych stronic z których wiele, jak np. "Sztuka podróżowania" pisana na pozycji pod Monte Cassino i rzecz o Conradzie — są trwałemi pozycjami w polskiej prozie krytycznej.

ŚP. PROF. STEFAN MAZURKIEWICZ

Z Warszawy donoszą, że zmarł tam profesor Stefan Mazurkiewicz, znakomity uczony polski, jeden z twórców szkoły matematycznej, znanej w całym świecie, jako szkoła warszawska.

Szkoła ta powstała na uniwersytecie warszawskim, w pierwszych latach jego wskrzeszonego po poprzedniej wojnie isnienia i zgrupowała się wokół dwu profesorów wszechnicy: prof. Wacława Sierpińskiego i śp. Stefana Mazurkiewicza.

Ich, oraz ich uczniów, w pierwszym rzędzie W. Sachsa, Bronisława Knastra i Kazimierza Kuratowskiego prace — stały się prawdziwym prądem ożywczym we współczesnej matematyce, dając początek nowym kierunkom badań, które później za przykładem Warszawy na całym świecie były prowadzone. "Fundamenta Mathematicae", wydawnictwo szkoły warszawskiej, było znane wszędzie i stanowiło naprawdę jeden z fundamentów nowej wiedzy matematycznej.

OD REDAKCJI

Jak w zeszłym roku, aby dać urlop zmęczonym współpracownikom, robimy przerwę tygodniową, którą później podwójny numer wynagrodzi.